

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

Z powodów natury technicznej numer niniejszy, który miał się ukazać przed Świątami, wyszedł dopiero teraz po Świątach.

Chociaż nieco spóźnione przesyłamy wszystkim czytelnikom i przyjaciółom naszego pisma tradycyjne życzenia świąteczne.

Obyśmy doczekali jaknajprędzej REZUREKCJI naszego kraju i rodzinnego!

Jedyne wyjście.

Cała prasa polska bez wyjątku, omawiając wyniki i horoskopy narad polsko-litewskich w Królewcu, różniąc się w ocenie poszczególnych momentów konferencji, zgadza się ze sobą na jednym punkcie, a mianowicie, że polityka litewska jest pozbawiona samodzielności wskutek zależności Kowna od Berlina i Moskwy.

Ten *leitmotiv*, powtarzający się aż do znudzenia od szeregu lat w prasie polskiej i w sekundującej jej znacznej części prasy francuskiej, rozbrzmiewa w dalszym ciągu donośnie również w korespondencjach i rozważaniach, dotyczących konferencji królewieckiej, chociaż w tym wypadku nieco zastanowienia powinno było wystarczyć do zrozumienia tej prostej prawdy, że ani rząd niemiecki ani rząd sowiecki nie są bynajmniej zainteresowane, aby dotychczasowa szczelna izolacja między Polską a Litwą trwała nadal w nieskończoność.

Jeżeli z pewnym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że nie jest w interesie Berlina i Moskwy uregulowanie ostateczne kwestji wileńskiej i w konsekwencji zbliżenie pomiędzy Polską a Litwą, to bynajmniej nie wynika z tego, aby stanowisko

ich było identyczne w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych i komunikacyjnych, skoro Litwa nie rezygnuje ze swych pretensyj do Wilna. Posądzanie więc prof. Voldemarasa o to, że stawiając trudności dyplomacji polskiej w Królewcu jest on inspirowany przez polityków niemieckich i sowieckich nie wytrzymuje najłżejszej krytyki. Przeciwnie, o wiele naturalniejszym jest przypuszczenie, że zgoda rządu litewskiego na rozpoczęcie pertraktacji z Polską była wynikiem właśnie ogólnego nacisku nań, nie wyłączając Niemiec i Rosji, w kierunku zlikwidowania obecnego absurdalnego stanu rzeczy, który się fatalnie odbija na rozwoju ekonomicznym wschodniej połaci Europy.

Objekcje zaś, czynione p. Zaleskiemu przez prof. Voldemarasa w Królewcu są ściśle związane z zasadniczym stanowiskiem litewskim w sprawie przynależności państwowej Wileńszczyzny i tylko pod tym kątem widzenia powinny być rozpatrywane i oceniane.

Z dotychczasowego przebiegu narad i licznych wywiadów, jakich udzielił prasie prof. Voldemaras nasuwa się wniosek oczywisty, że Litwa nie ma nic przeciwko zawarciu z Polską konwencji, regulującej stosunki pocztowe i komunikacyjne pod warunkiem, że nie będzie ona obejmowała Wileńszczyzny, jako terytorjum, stanowiącego część państwa litewskiego. Natomiast rząd polski, opierając się na uchwałach Rady Ambasadorów z dn. 15 marca 1923 r. stanowczo jest przeciwny jakiegokolwiek wyeliminowaniu Wileńszczyzny z całości obszaru państwowego polskiego.

W tych warunkach, zdawałoby się, wszelkie dalsze rozmowy pomiędzy Polską a Litwą są najzupełniej bezcelowe i beznadziejne. Jeżeli jednak zostały wyłonione komisje, które mają do d. 20 b. m. przygotować odpowiedni materiał, a następnie pracować nad uzgodnieniem wniosków z jednej i z drugiej strony, to należy przypuszczać, że zarówno p.

August Zaleski jak p. Augustyn Voldemaras nie tracą nadziei znalezienia jakiejś formuły, któraby pogodziła zarówno teoretycznie, jak praktycznie nieprzezwyciężone na pozór rozbieżności. Wbrew więc dowcipnemu *bon mot*, że *de augustibus non est disputandum*, wszystko przemawia za tem, że dalsza dyskusja może dać rezultaty pozytywne, o ile obie strony w duchu zdecydowały się zejść ze stanowiska nieprzejednanego i znaleźć jakieś wyjście kompromisowe.

Nie trudno byłoby o kompromis, gdyby Wileńszczyzna, która dziś stanowi starannie omijany drażliwy punkt sporny i do której oba państwa roszczą prawo własności, została dopuszczona do głosu i mogła rzucić na szalę układów swą istotną, nie sfalszowaną wolę. Już niejednokrotnie wyrażaliśmy pogląd, że wielkim błędem ze strony rządu litewskiego było zignorowanie Litwy Środkowej. Zamiast dążyć do zniweczenia tej fikcji, należało wyteżyć usiłowania, by fikcję zamienić w rzeczywistość. Z drugiej strony popełnił również błąd rząd polski inscenizując pośpieszną inkorporację Wileńszczyzny i wreszcie trzecim błędem było zbyt pochopne wyrzeczenie się roli samodzielnej przez polityków wileńskich, ogarniętych wówczas jakimś szalem samozaparcia się i samounicestwienia. Dziś nastąpiło otrzeźwienie i wielu ówczesnych zapalonych „wcieleniowców” żałuje swego nieopatrnego kroku. Pośrednio, w bardzo ogólniejszej, co prawda, formie, nie wyciągając ostatecznych konsekwencji ze swych wywodów i nie stawiając kropki nad *i*, przyznaje się nawet do tego najbardziej fanatyczny propagator wcielenia bez zastrzeżeń wszechpolski „Dziennik Wileński”.

Zastanawiając się bowiem nad przebiegiem i perspektywami obecnych rokowań polsko-litewskich

pismo to stwierdza, że właściwie tylko Wileńszczyzna jest zainteresowana w nawiązaniu stosunków z republiką litewską, rdzenną Polskę mało one obchodzą, poza drobną sprawą eksportu soli i nafty (dodajmy również i węgla). W związku z tem pismo ubolewa, że skład delegacji polskiej ma charakter wybitnie urzędniczy i że nie wchodzi do niej przedstawiciele naszego kraju. Nieświadomie więc, wbrew swym tendencjom „Dziennik Wil.” zajął stanowisko krajowe, gdyż to samo właśnie utrzymują krajowcy: 1) że Wileńszczyzna posiada odrębne interesy, 2) że jest ona ściśle związana z Litwą Kowieńską i 3) że powinna posiadać własną, samodzielną reprezentację. Tylko krajowcy wyciągają z tych przesłanek dalsze wnioski logiczne, domagając się *wyodrębnienia* Wileńszczyzny, gdy „Dziennik Wileński” poprzestaje na stwierdzeniu powyższych prawd i zamyka oczy przed ich konsekwencjami.

Niemniej te prawdy obiektywne pierwiej lub później narzucają się wszystkim z siłą nieodpartą i niewątpliwie ostatecznie odniosą triumf. Tak lub owak, w tej lub innej formie wyodrębnienie naszego kraju musi nastąpić. Sądzymy, że w dalszych pertraktacjach polsko-litewskich postulat ten zostanie sformułowany jasno i wyraźnie i gdyby nawet na razie układy się rozbiły, to przyniosą one tę niewątpliwą korzyść, że obie strony uświadomią sobie dokładnie konieczność zejścia z dotychczasowego stanowiska, traktującego Wileńszczyznę, wyłącznie jako obiekt przetargów lub przedmiot sporu.

Trzeba wrócić do punktu wyjścia — oto jedyna rada, którą może dać dyplomatom, zabawiającym się bezpłodną kazuistyką każdy realny polityk, rozumiejący istotę i znaczenie problemu wileńskiego.

Wielkanoc w Wilnie przed stu laty.

Kraszewski w swych „Obrazach z życia i podróży” barwnie opisuje ulicę wileńską w okresie wielkanocnym w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Kto nie zna tych feljetonów Kraszewskiego, ten z zaciekawieniem przeczyta niniejszy z nich urywek, kto zaś je zna, ten z przyjemnością odświeży je w pamięci, chociażby w tym celu, aby się przekonać, jak mało, w gruncie rzeczy obecne Wilno różni się od dawnego, z przed stu lat blisko.

Ważną uroczystością w Wilnie są Groby W. Piątkowe. Nigdy lepiej mieszkańców miasta zobaczyć nie można, jak wówczas; wszyscy się wysypują na ulice. Kościoły stroją najstaranniej groby swoje, każdy właściwym smakiem i sposobem, niektóre (i tych najwięcej) tradycyjnie, co roku jednakoż zupełnie.

Skutkiem pięknego dawnego zwyczaju populacja Wilna, nawet wyższych klas ludzie mają sobie za obowiązek pobożny obchodzić wszystkie groby. Wyobrazić sobie nie można ściskającego się na

ulicach tłumu, różnobarwności figur, min, strojów; trzpiotowości młodzieży, która od *grubu do grubu* goni za upatrzoną pięknocią. Co za profanacja! Co za sprzecznosc! — Zaloty i grób; a czyż grób jeszcze! A jednak wszyscy tu są strojni, ubrani, wszyscy chcą się tylko pokazać, nikt prawie się nie modli, jednych *rendez vous*, drugich muzyka, trzecich chęć popisania się ze strojem prowadzi tutaj. Prawie nikt, powtarzam, nie modli się. Chodzą, śmieją się, biegają, przeganiają, spotykają, uśmiechają, w wilję marzą o tem, następny dzień o tem tylko mówią. Ileż to spojrzeń słodkich, ile uśmiechów przy grobie. Nie wiem jak ten tyle znaczący wyraz — grób, nie odpełdzi od nich myśli próżnych, uczuć wesolych, jasnych, lekkich. Ale oni o niczem prócz siebie nie myślą. Życie tak jest smaczną potrawą dla tych, którzy nie wiedzą dlaczego, czem żyją i dokąd ich życie to prowadził

Ulice Wilna ożywione są, pełne ludzi — wszyscy się śpieszą, popychają, ten za salopą czarną, tamten za niebieskim kapeluszem. Ta — całując krzyż odwraca się i patrzy. — Mój Boże! to się zowią ludzie, którzy mają wieczność przed sobą!

Posłuchaj rozmowy:

Dwóch młodzieży; jeden w tużurku cynamono-

Po wyborach.

(Niewczesne rozważania na czasie).

Wybory parlamentarne — to okres ważny w świadomości politycznej każdego kraju. To okres nowych zmagania — krok naprzód w rozwoju, albo cofnięcie się wstecz.

Jeżeli z tego punktu widzenia spojrzeć na wybory z dnia 4 i 11 marca i zapytać się, co nowego wniosły, co ukształtowały w naszym życiu — to odpowiedź będzie bardzo trudna. Trudno się jakoś dopatrzeć tych zmian, czy urodzenia jakich nowych kierunków rozwoju.

Wybory do Sejmu wileńskiego, plebiscytowego, miały wpłynąć na losy kraju — zainteresowanie było wielkie — ale tylko ludność polska i przyznająca się do polskości brała w nich udział.

Wybory 1922 roku były faktycznie pierwszymi powszechnymi wyborami u nas. Wysunęły na naszym gruncie dwie siły, obie będące wyrazem rodzącej się świadomości ludowej i krajowej. „Wyzwolenie“, które wzięło połowę mandatów z prowincji wileńskowogródzkiej (10 na 21), mocno wysuwające hasło autonomii terytorjalnej i niedwuznacznie występujące przeciw osadnictwu, czemu w znacznej mierze zawdzięczało swe powodzenie, oraz „szesnastka“ białoruska — przeorywująca przy agitacji ugorujące samopoczucie narodowe białoruskie w masach, po zachodniej linii frontu wielkiej wojny poraż pierwszy w tym rozmiarze.

Obie te siły zawiodły. Dowodem zarówno rozpad „Wyzwolenia“ jak i dawnej 16-ki.

Była chwila, gdy włościanin naszego kraju w swej olbrzymiej większości znalazł był, zdawało mu się, rozwiązanie swego losu w masowej przynależności do „Hramady“ i sprzymierzonej z nią N. P. Ch. Po rozgromieniu tych organizacji zgóry — po aresztach, rewizjach, szykanach za przynależność do nich — chłop miejscowy, żądający od partyj politycznych przedewszy-

stkiem poprawy bytu — której mu dać nie mogły, znalazł się w pełnym rozgardjaszu ożywionych przed wyborami partyj i partyjek, nieraz grup i grupki całym drobnym.

Okres ostatniego roku na wsi możnaby nazwać okresem „poszukiwania bóstwa“ i to takiego bóstwa, któreby „nie zdradziło“. Bo wieś o wszystkich, często nawet o tych co nie zawinili, myśli, że „zdradzili“. Nic w tem dziwnego, chłop nasz od tylu wieków — a ostatnio lat — tak był „zdradzany“ (to znaczy, że pokładał ufność w czynnikach, które nie sprawdzały pokładanych nadziei), że nabrał już może nadmiaru nieufności do najszczerzych nieraz przyjaciół i obrońców; a przyznać trzeba, że jego ufności zbyt już nadużywano.

Na tem tle poszukiwań ze strony wsi rozwinął się i żerował ruch wyborczy. Nie zaspokoił nikogo. Potworzył się szereg „spółek mandatowych“, które odrazu poczuły niesłychaną miłość do ciemnego chłopca i poczęły wskazywać miraż światlanej przyszłości, którą niemal można złowić rękami, byle tylko na dany numer głosować. Śród tego morza numerów i list wykwiatało ledwie kilka ugrupowań mających ideowy kierunek i wysuwających program, a nie hasła wyborcze. Do nich pozwolimy sobie zaliczyć „Wyzwolenie“, N. P. Ch., „Hramadę“, „Sielsojuz“, Ch. D. białoruską i... komunistów. Ci ostatni bardzo umiejętnie ukrywając się pod płaszczkiem innych bardziej lub mniej ulegalizowanych partyj robili swoją robotę, brana za dobrą monetę na wsi. Należałoby tu wliczyć i P. P. S., — ale jej należy się miejsce odrębne. P. P. S. na obszarze Polski waha się między miastem a wsią. Psychologja przywódców, program tradycyjny, przyzwyczajenia myślowe określają ją jako partję robotniczą, miejską. Życie zaś wskazuje, że przy rozbiciu stronnictw włościańskich i aż nazbyt częstej bezprogramowości tychże (pod hasłami „bez wykupu“ i t. p.) i po zdomowieniu się związku robotników rolnych na wsi — życie pchnęło P. P. S. w kierunku wiejskim. Stosunki Kongresówki przeniesiono na nasz grunt — i dziś widzimy znowu pokazną liczbę głosów P. P. S. na naszym te-

wym, drugi w płaszczu o jasnej podszewce, idą od Św. Jana do Katedry.

— Ty już byłeś Jasiu w Katedrze?

— Byłem, biegłem myśląc, że ją tam zastanę, ale mi się nie udało, złapałem ją dopiero u Św. Jana i teraz gonię za nią do Katedry znowu; już jej nie opuszczę do wieczora... A ty?

— Ja jeszczej mojej Paulinki nie spotkał nigdzie. Wiem, że wyszła odwiedzić groby, bo przechodząc koło jej domu, widziałem powóz u bramy.

— Śmieszny jesteś, naturalnie zaczniesz od najbliższego kościoła — trzeba tam było czekać u Augustjanów.

— O! nie mogę ustać na miejscu.

— Wiesz co wstąpmy do cukierni.

— Na momentek.

— Dobrze, na momentek tylko.

Dwie panie, w atlasowych salopach i aksamitem ubranych kapeluszech, pół — zimowych.

— Widziałas Rejentową, jak się naczupurzyła. Co za kapelus! Gdzie ona go kupić mogła?

— A! wiem! koło Fiorentiniego u...

— Ale to wieża Babel!

— Albo Sowietnikowa — w szlafroku? Kto wychodzi w szlafroku na ulicę.

— Naturalnie, tylko Sowietnikowa chyba.

— Pan Antoni ci się kłania, na lewo, spojrzij na lewo.

— Pewna jestem, że ten ukłon dla ciebie, nie dla mnie.

— Tak jesteś spokojna o niego, że nie lękasz się przypisywać go komu innemu.

Wchodzą do kościoła.

— Spojrzij na prawo, zmiłuj się, kto w tym cytrynowym szalu?

— Coś zupełnie nieznanego, jakiś ślimaczek, co dziś dopiero wyszedł ze swojej skorupki.

Dwie podżyłe kobiety.

— Pani będziesz piekła święcone u siebie, czy wezmiesz u Hurtiga?

— Trochę upiekę, a resztę dokupię. Nie wie-dzieć co zrobić, bo i tak drogo i tak drogo. A tyle zachodu!

— Ja nic nie piekę w domu. A mięsiwo?

— Przysłali mi ze wsi.

— Jakże się dzieci mają?

— Zdrowe, dzięki Bogu; młodsza dostała kaszlu.

— Na kaszel niema jak zimna woda.

— P. Wróblewski zapisał ulepek.

Dwóch podżytych mężczyzn.

renie. Są to głosy dziś jeszcze przypadkowe — choć przy zwróceniu całości partji na tory bardziej wiejskie (a w programie bardziej „rewizjonistyczne”) — może ona liczyć i u nas na poważne zadomowienie na wsi.

W miesiącach przedwyborczych powstał u nas nowy twór, „Stronictwo Krajowe”. O potrzebie stronictwa krajowego u nas pisano i mówiono nieraz — ale chwila przedwyborcza była najmniej do tego odpowiednia.

Zamiast przerobienia programu, zamiast powolnego wsączania swych założeń w umysły światlejsze wśród ludzi uczuwających tego potrzebę — powołano na kolanie do życia organizację przedwyborczą — wśród której znalazły się aż nazbyt już różnorodne elementy — od szczerych ideowców począwszy a na łowcach mandatów i przygodnych eksploatatorach konjunktur skończywszy. Utworzono to „stronictwo” pod nazbyt już wyraźnymi aspiracjami wszechmocnej władzy lokalnej, nim ją zdezwuowała — centralna. Skompromitowano przytem grupę „Białoruskiego Dnia” przez mechaniczne jej wcielenie do tego tworu, który przetrwał ledwie swoje stadium początkowe organizacyjne — i wlano znowuż na rozkaz zgóry wszystkim stworzony naprędce bigos (od niedawnych enpechowców i hromadowców — do spokojnych demokratów) — do jedynki rządowej.

O „jedynce” pisać nie będziemy. Rzecz to zarówno niebezpieczna, jak i w psychice kraju zbyt mało zaznaczona.

* * *

Wynik wyborów — chyba tego nie potrzeba uzasadniać — nie odpowiada wcale istotnym nastrojom kraju.

Nigdy jeszcze w naszym kraju ingerencja czynników rządowych (do Pana Posterunkowego Policji Państwowej włącznie) w życiu politycznym naszych obywateli nie była tak silna.

Przy wyborach (plebiscytowych) do Sejmu Wileńskiego kończyło się na agitacji. W 1922 roku to

samo. Dopiero powstanie „Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem” zmieniło stosunki. Uczyniono w całym państwie próbę wyborów przeprowadzanych przez rząd. Tam gdzie odpór siłą rzeczy mógł być tylko bardzo słaby, jak u nas — przerodziło się to w istną sarabandę nacisku. Kasowano listy (w jednym okręgu święciańskim skasowano ich kilkanaście), przyczem w tych kasatach była metoda. Np. skasowano listę Wyzwolenia w święciańskim, gdzie miało najwięcej szans, a pozostawiono w lidzkim. Natomiast w lidzkim skasowano listę Dubrownika i 18-kę, z czego skorzystała jedynka i wynikły 2 mandaty dla grupy p. J. Stankiewicza. Na 150 tys. głosów „ważnych” — padło w lidzkim 78 tys. głosów „nieważnych” (N. P. Ch. i Dubrownik), w jednym powiecie lidzkim unieważniono 48 tys. głosów! (Dla porównania zaznaczmy, że w okręgu wileńskim większość mandatów uzyskano przy 17—20 tys. głosów). Nacisk na wójtów, obawiających się o posady, areszty względem osób nie idących za rządem (na Polesiu np. wyaresztowano poprostu niemal cały zarząd okręgowy i kandydatów Wyzwolenia), szykany administracyjne i policyjne — wycofywanie podpisów na listach (Wyzwolenia w święciańskim i 18-ki w lidzkim) pod grozą policji — szalona marnotrawna agitacja niemal zmonopolizowana w plakatach i ulotkach jedynki — zrobiła swoje. Wybory przeszły „nadszpodziewanie dobrze” dla jedynki.

Ale myliłby się, kto by sądził że te wybory odzwierciedlają w jakikolwiek sposób nastroje ludności i na tem chciał budować kombinacje na przyszłość.

Dla ścisłości zaznaczyć należy że nie wszystkie głosy jedynki były wymuszone. Ziemiaństwo, administracja, osadnicy, gdzieś istniejące ośrodki Partji Pracy i „radziuków” (Rady Ludowe — Młodzież Narodowa) — szczerze się brały do agitacji — w wielu miejscach agitacja ta trafiała na podatny grunt włościańskiej psychologii „żeby był porządek”.

Uzyskane przedstawicielstwo wykazuje przypadkowe wyniesienie głowy z pogromu po jednym mandacie — Wyzwolenia, PPS, ND i ChD, 8 posłów białoruskich w 3 ch zwalczających się ugrupowaniach

- Rejenta Dobrodzieja.
- Sługa Pana Sędziego.
- Jakże poszedł wist wczorajszy?
- Trzy robry na głowę przegrałem. Dwa szlemy wzięłem raz po raz. Musiałem usiąść pod belką — piętnaście rubli.
- Szkaradnie! Słyszałeś Pan o tym biednym stołanaczelniku?
- Cóż chcesz? Słyszałem. — Nie przyjmować więcej do służby! Ostro! ostro! Miał nieprzyjaciół. Nic dziwnego.
- Prokurator podał się do odstawki. Szkoda, dobry człowiek. Brał, to prawda, no, ale kiedy wziął, to zrobił.
- Tak, to nie mała rzecz, bo są tacy co i wezmą i nie zrobią!
- O są tacy!
- A gdzie dziś wieczorem?
- W domu.
- Nie łaska do mnie na wista?
- Jeśli każesz..
- Będzie konsyljarz i sowietnik. Założymy złotówkowego wista.

Tak to pobożne wiodą się rozmowy u grobu Pańskiego. Dzień ten w ciągłej przepędziwszy go-

rażce wracają do domu mówiąc o ubiorach, o ludziach. Zwierają się poufale z myśli swoich, o tym, o tej, o tych.

Ten złapał na drodze uśmiech dobrej wróżby, ten słówko wielkiego znaczenia. Każdy żartuje, szydzi, śmieje się, chwali. Wszystkie damy ożywione są, zajęte aż do Rezurekcji, aż do Święta.

Rezurekcja odbywa się w każdym kościele o innej godzinie, aby wierni a raczej ciekawi z jednego do drugiego koleją, tak jak od grobu do grobu przechodzić mogli. Zaczyna się około dziewiętej wieczornej, trwa do dziewiętej rannej. Tej nocy niema snu w mieście. Tłumy z kościoła do kościoła krzycząc i śmiejąc się przebiegają, a noc tak czarna, a ludzi tak różnych i tak wielu. Bramy domów stoją nie pozamykane, kościoły otwarte, traktjery ledwie po północy się zamykają, drażkarze jeżdżą do świtu. W całym mieście trwa dzień przez noc. Ci, którzy nie chcą lub nie mogą do wszystkich lub do wielu chodzić kościołów, przynajmniej w jednym z nich być muszą.

Następuje Wielkanoc ze święconem jak wszędzie. Cała niższa i najniższa klasa ludności tłucze tysiące jaj naprzeciw Ratusza.

Pocieszna i wcale oryginalna zabawka..

i dziesiątek postów jedyńki. Kogo wśród nich niema? I monarchista Mackiewicz ze „Słowa“ i „radykali“ z Partji Pracy Kościalkowski i Dr. Brokowski, ślad stronnictwa krajowego w postaci mec. Raczkiewicza oraz dużo „radziuków“ z p. Kamińskim na czele, obok red. Okulicza, demokraci bezprzymiotnikowego. Do Senatu p. Witold Abramowicz, demokratą, obok Stan. Wańkowicza, konserwatysty. Zresztą wybór osób w jedyńce nie dowodzi niczego o wpływach ich wśród ludności, a jedynie o wpływach u rządu centralnego.

„Słowo“ obwieściło wprawdzie z triumfem o „nowej zasadzie“ grupowania się „regjonalnego“ postów z jedyńki. I rzeczywiście stworzono taki twór dla naszego kraju z prezesem dr. Brokowskim, a wiceprezesem p. Wł. Kamińskim. Ci dopiero wzniosą myśl „regjonalną“ (co u optymistów jest uważane za listek figowy dla autonomizmu czy myśli federalcyjnej). Uderza przytem, że nie wysunięto żadnego demokraci autochtona, ani W. Abramowicza, ani Okulicza, ani Jana Piłsudskiego, który wszedł do Sejmu z listy państwowej „jedyńki“.

Wogóle przy tych wyborach odbył się pewien bolesny dla opinji krajowej cichy pogrzeb demokracji wileńskiej. Stanięcie na gruncie „jedyńki“ „demokratów wileńskich“ zaznaczyło zejście ze świata tej nielicznej, ale ideowo zwartej grupy o ideologii wytrwale krajowej. Śród fluktów wielkiej polityki za czy contra rządowi marszałka Piłsudskiego, w braterstwie z konserwą monarchistyczną i ideologicznie endekoidalnymi „radziukami“, osadnikami i napływowcami „radykałami“ piłsudczykami—stali się oni dziś tylko częścią obozu sanacyjnego, przed czem się długi czas bronili.

Widomym znakiem tego było kompletne „usanacyjnienie“ ich organu, podobno „demokratycznego“ „Kurjera Wileńskiego“, forsującego dla względów personalnej polityki rządowej kandydaturę redaktora konkurencyjnego pisma, monarchistycznego „Słowa“. Drugim dowodem końca demokracji wileńskiej to brak oburzenia na metody uzyskiwania głosów przez jedyńkę przy tych wyborach. Jedno i drugie dostatecznie charakterystyczne.

Jak widać, z tego przeglądu, ani u dołu (na wsi), ani u góry (w ideologii wybranych) wybory obecne niczego nie wniosły jako wyrażenie woli w kierunku, czy to ujednolicenia, czy rzucenia myśli nowej o losach kraju. Pozostawiły nato niast, dużo goryczy i tajnego oburzenia — które może przerodzić się z czasem w antypaństwowym kierunku.

Myśl krajowa doznała porażki na odcinku, gdzie najdłużej trwała, a nie znalazła nowych zagnieżdżeń. Bilans ogólny z punktu widzenia zarówno krajowego jak i demokratycznego uznać należy za ujemny.

Zawiedziony kraj w dalszym ciągu czeka na myśl zbawczą, która by wyprowadziła z martwego punktu.

L. Ch.

Smutny widok.

W roku bieżącym zbiegły się dwa dziesięciolecia ogłoszenia niepodległości: Litwy oraz Białorusi. Obchodzili więc uroczystie tę rocznicę narodową zarówno wileńscy Litwini, jak Białorusini. Obchód litewski wypadł jednakże o wiele bardziej imponująco i miał istotnie charakter uroczysty, nie tylko dlatego,

że naród litewski święcił triumf częściowy swych państwowotwórczych wysiłków, gdy deklaracja białoruska nie doczekała się dotąd realizacji w najniższym nawet stopniu, ale przede wszystkim dlatego, że mimo głębokich różnic i tarć przekonaniowych w społeczeństwie litewskim potrafiło ono w tym momencie wznieść się ponad poziom orientacji partyjnych i zmanifestować solidarnie swe uczucia narodowe, tymczasem zaś w środowisku białoruskiem panujące tam rozdziewki i rozłamy nie dopuściły do wspólnego wystąpienia.

Wskutek tego odbył się jeden obchód w lokalu Biał. Instytutu Gospodarki i Kultury, na który się złożyły przemówienia, powitania oraz dział koncertowy i drugi w gimnazjum białoruskiem, gdzie ograniczono się jedynie do popisów wokalnie-muzycznych. Trzy wreszcie pozostałe grupy białoruskie, a więc Janki Stankiewicza, Umiaszowskiego i była Pawlukiewiczowska, (obecnie Wiernikowskiego), jako zbyt ugodowe zostały wyeliminowane całkiem z uroczystości narodowej.

Na pięć aż bowiem odłamów, zwalczających się wzajemnie bez pardonu dzieli się obecnie nieliczna inteligencja białoruska na terenie Białorusi Zachodniej. Trzy kierunki myśli politycznej są objawem naturalnym, chociaż nie wynika stąd, aby między nimi panowała walka na noże, ale jaką rację bytu mają pozostałe dwa? Na czem polega ich odrębność i jakie żywiły one reprezentują? Trudno się zorientować w tej gmatwaninie, gdzie czynnikiem kształtującym oblicze duchowe danej grupy są nie wskazania programowe i ideowe, lecz po większej części względy osobiste i ambicje jednostek.

Taki wniosek się nasuwa przynajmniej po przeczytaniu artykułu „Chto jany takija?“ w № 11 pisma p. Umiaszowskiego „Białoruski Dzień“, gdzie został dosadnie scharakteryzowany obóz p. Pawlukiewicza, pozostający w najbliższym pokrewieństwie programem z grupą p. Umiaszowskiego.

Posłuchajmyż tych ciekawych wynurzeń.

„Nowe czasopismo, które niedawno ujrzało świat p. t. „Hramadzianin“ jest dalszym ciągiem niedobrej pamięci „Bieł. Słowa“. „Hramadzianin“ jest organem tych ludzi, którzy wydawali „Bieł. Słowa“ i tworzyli rozmaite „Rady“, grupujące się dokoła osoby słynnego dr. Pawlukiewicza.

Nic dziwnego nie byłoby w tem, że ludzie ci wydają pismo, wiadomo, trzeba coś robić. Rozmaite okoliczności zmusiły ich do zmiany tytułu pisma; między innymi zapewne skłonił ich do tego kroku i ten wzgląd, że w dwóch okręgach ich listy wyborcze zdołały zebrać zaledwie 100 głosów, na które się złożyli agitatorzy, instruktorzy i inni najmici...

I oto ci ludzie, którzy się grupowali dokoła „Bieł. Słowa“, obecnie zaś wydają „Hramadzianina“ mają czelność głosić, że podejmują inicjatywę przeprowadzenia moralnej sanacji życia białoruskiego!

Któż to tacy? Nie potrzebujemy długo szukać odpowiedzi. Bierzemy do ręki pismo „Nasza Baćkauszczyna“ (№ 1 z dn. 15 lutego r. b.), gdzie niedawny współpracownik i towarzysz naszych „moralnych sanatorów“ obywatel L. Mićko daje dość szczegółową ich charakterystykę.

Oto co pisze ob. L. Mićko:

„Jak wiadomo, utworzyła się ta „spółka białoruska“ z rozmaitych bankrutów b. caratu, którzy niegdyś uprawiali zachłanną politykę rosyjską. Gdy walka monarchistów rosyjskich ze współczesnym rządem rosyjskim dała wynik dla nich niepomysłny, ca-

ły tabun tych bankrutów rzucił się jak wilkołaki na naszą ziemię, aby znów używać, wyzyskując morderczy trud ludu białoruskiego, jak niegdyś za czasów carskich. Wówczas się zjawiała t. zw. „Białoruska Rada Narodowa”. Jeżeli się przyjrzeć uważniej jej przywódcom, to zobaczymy tu zbieraninę wszelkiej maści i narodowości z rozmaitych krajów: i z Niemiec i z Łotwy i z Ukrainy i z Rosji—wiernych sług dawnego rządu rosyjskiego; niema tu tylko świadomych Białorusinów.

Wszyscy ci Pawlukiewiczze, Wiernikowscy, Kopopaccy, Jużynkowie, Wernerzy, Waunowscy mają jednakowe wyżarte sumienie, jeden cel — żyć i używać kosztem nieświadomionego ludu białoruskiego, bo hulać nauczyli się oni przy rządzie carskim, pracować nie umieją, prowadzić zaś nieco skromniejszy tryb życia, niż dawniej—nie zgadzają się. Jeżeli ktoś nowy trafi do tej organizacji, to albo musi stać się posłusznym narzędziem w ręku jej kierowników i robić to, co mu każą, albo przyjrząwszy się jej bliżej ucieka czempredzej, albo wreszcie staje się renegatem i sprzedaje za pieniądze i wódkę swe sumienie. Innych ludzi tu niema...

Jeden ideał łączy członków tej spółki szantażystów: doczekać się czasów, gdy znów będzie panował car i używać wtedy co się zmieści. Tymczasem zaś tworzyć zamęt na Białorusi i ze względu na przyszłość nie wypuszczać jej ze swych pazurów. Językiem zaś tu posługują—wyłącznie rosyjskim. Materiał dla „Biał. Słowa” biorą z rosyjskich gazet monarchistycznych, jak np. „Bor'ba za Rossiju”, „Wozrożdżenije”, „Siegodnia”, rosyjskie gazety również są rozsyłane do wiosek...

Dalej „Biał. Dzień” przytacza głos M. Piotrowicza, b. wiceprezesa Biał. Rady Narodowej, który utrzymuje stanowczo, że Pawlukiewicz prócz zapomóg ze źródeł polskich otrzymywał znaczne subsydia od Komitetu Monarchistycznego w Anglii i że nieraz się odzywał z lekceważeniem o Polsce, jako państwie sezonowym.

Czy nie te właśnie sensacyjne rewelacje Piotrowicza były powodem usunięcia się raptownego Pawlukiewicza z widowni politycznej w Wilnie i zastąpienia go Wiernikowskim?

Na powyższy atak p. Umiastowskiego zapewne odpowiednio zareaguje „Hramadzianin”, odsądzając go ze swej strony od czci i wiary, a gdy uprzytomnimy sobie, co o redaktorze „Biał. Dnia” pisali przedstawiciele pozostałych kierunków, a ponadto jakie prawili sobie wzajem komplementy wybitni reprezentanci tych trzech ugrupowań, które mają dziś swych posłów w Sejmie—będziemy mieli pełny obraz kotłujących się w społeczeństwie białoruskiem namiętności, ambicji i zabiegów o wpływy i znaczenie. Czyż jest do pomyslenia w tych warunkach wspólny obchód narodowy?

Smutny widok, zwłaszcza dla tych, którzy szczerze sprzyjają odrodzeniu narodu białoruskiego i pragną gorąco, by znalazł on wreszcie przewodników, obdarzonych autorytetem moralnym i zdolnościami organizacyjnymi. Cała nadzieja w młodzieży, jak słusznie podkreślił jeden z młodych mówców na wspomnianym obchodzie dziesięciolecia.

Z. Małynicz.

P. S. Już po złożeniu powyższego „Biał. Dzień” zamieścił oświadczenie, że artykuł p. t. „Chto jany takija” trafił na szpalty pisma wskutek niedopatrzania redakcji i że nie należy identyfikować wydawanego doniedawna przez p. Pawlukiewicza „Biał. Słowa” z nowym czasopiśmie „Hramadzianin”, o którym

przedwcześnie jeszcze jest wydawać jakikolwiek sąd ujemny. Należy przypuszczać, że dzięki temu oświadczeniu ostry konflikt, zarysowujący się pomiędzy dwiema tak zbliżonymi do siebie grupami zostanie zlikwidowany w zarodku.

Z mego notatnika.

Dwa światy.

Spotkałem któregoś dnia pewnego znajomego ziemianina z kresów Białoruskich. Wraciał właśnie z sądu z procesu „Biał. Hramady”, na którym był obecny, jako widz, przez ciekawość. Nie posiadał się z oburzenia. Wszystkich podsądnych uważał oczywiście za zdeklarowanych bolszewików, z którymi należało się, jego zdaniem, załatwić bezwzględnie i radykalnie. Piorunował na obronę i choć tego wyraźnie nie powiedział, miałem wrażenie, że nie aprobował normalnego postępowania sądowego. Chętniej by już widział sąd doraźny, a jeszcze bardziej taką rozprawę, jaką stosują bolszewicy względem swych kontrrewolucjonistów. Poza to z całego jego opowiadania przebijały jakaś dziwna nienawiść i nietajone obrzydzenie do podsądnych. W jego szczerej, impulsywnej relacji czuć było już nie antagonizm klasowy, nie fanatyzm nawet przeciwnika ideowego, lecz coś w rodzaju rasowej odrazy „białego” do „czarnego”, którą tak plastycznie przedstawiają Jack London i Conrad w swych egzotycznych opowieściach.

Słuchając tego wylewu podrażnionych uczuć wykształconego (z dyplomem uniwersyteckim) obszarnika zrozumiałem dobrze wzajemne uczucia nienawiści i mściwości względem „panów” ze strony ludu białoruskiego i ściśle z nim zespolonej inteligencji i półinteligencji białoruskiej. Tak, to są dwa światy, które nigdy się ze sobą nie porozumieją i które będą toczyły ze sobą walkę na śmierć i życie. O pokojowej ewolucji pojęć i stosunków niema co marzyć, bo jeżeli ani krwawe ekscesy chłopskie na Białorusi i Ukrainie podczas rewolucji bolszewickiej ani przykłady bezwzględnej eksterminacyjnej polityki względem ziemiaństwa polskiego w Litwie i Łotwie nie nauczyły niczego naszego obszarnika i nie wpłynęły ani trochę na zmodernizowanie jego ciasnego szlachecko-wszecpolskiego światopoglądu, to czyż można przypuszczać, aby obudziło się w nim głębsze zrozumienie sytuacji w warunkach obecnych, gdy państwowość polska gwarantuje mu *tymczasem* bezpieczeństwo osobiste i pozwala nie myśleć o groźnym *jutrze*?

Jaskrawą ilustracją tej zadziwiającej krótkowzroczności i organicznej niezdolności do zrozumienia nowych procesów społecznych jest polska literatura pamiętnikarska, dotycząca niedawnej przeszłości. Wielu byłych ziemian, a jeszcze więcej ziemianek ogłosiło drukiem swe wspomnienia z lat 1917—1920, pisane nieraz barwnie i zajmująco, bez przesady i zmyśleń, nawet z niemałą dozą krytycyzmu. Przeważnie są to dzieje likwidacji wielkiej własności ziemskiej na ziemiach ukraińskich. Poruszają ten temat Kossak—Szczycka i Derożyńska i Dunin—Kozicka, że wymienię tu pióra najbardziej utalentowane. Ale psychikę „kresowego” obszarnika polskiego, czy ma on do czynienia z ludem ukraińskim, czy białoruskim, czy litewskim cechuje rażące podobieństwo. Różnice

tkwią jedynie w formach zewnętrznych i temperamencie.

Otóż wspomniane autorki, bezwątpienia inteligentne i obdarzone zmysłem obserwacyjnym, w swych refleksjach i analizie wypadków, których ofiarą wszystkie one padły — zdradzają jeden wspólny rys niezmiernie charakterystyczny: niezdawania sobie absolutnie sprawy, nawet dziś, po wszystkich tych straszliwych przeżyciach i doświadczeniach, że odosobnienie ziemiaństwa polskiego na Ukrainie, jego stanowisko typowo kolonizatorskie musiały przy pierwszym wstrząśnięciu zgotować mu ten sam los, jaki spotyka białych kulturtregerów ze strony kolorowych tubylców, gdy budzi się wśród nich poczucie własnej siły i uświadomienie czy to plemienne, czy tembardziej narodowe, jak w Indjach i Egipcie.

Nie mam tu na myśli bolszewizmu — ten przewrót nastąpił później i włościanie nie odegrywali w nim większej roli. Ale już na samym początku rewolucji rozpoczęły się mordy „panów” i pożogi dworów jako zjawisko żywiołowe. Petlurowcy walczyli z bolszewikami, ale rząd ludowo-narodowy ukraiński wydał również wyrok zupełnej zagłady na ziemiaństwo polskie, jako na żywioł obcy, najzupełniej zbędny i bezużyteczny dla życia *samosistijnej* Ukrainy. Radykalizm społeczny został tu wzmocniony przez względy narodowościowe. I tego dotąd nie rozumieją ani owe autorki ani liczne rzesze ich sąsiadów i sąsiadek, uważające ziemię czy to ukraińskie, czy białoruskie, czy litewskie jako naturalny teren kolonizacyjny dla polskiej ekspansji ekonomicznej i kulturalnej.

Jednostki z pośród ziemiaństwa bardziej światłe i szlachetne mogą czuć nawet pewien sentyment dla ludu miejscowego, mogą żywić dłań uczucia patryjarcalne, mogą postępować sprawiedliwie i nie wyszukiwać swego uprzywilejowanego położenia, ale do rzadkich wyjątków należy zaliczyć takiego obszarnika, któryby uznawał, że jego obowiązkiem jest rola czynna w procesie obywatelskiego (a więc społecznego i narodowościowego zarazem) uświadamiania się włościanina i że „pan” i „chłop” — jego sąsiad odwieczny to powinny być nie dwa światy, lecz jeden świat o dwóch poziomach tylko.

Licz.

Bibliografia.

Anna Zahorska (Savitri). *Trucizny.* Powieść współczesna. Z przedmową ks. Arcybiskupa Teodorowicza. Warszawa 1928.

Przedewszystkiem dla ścisłości należy zaznaczyć, że „Przedmowa” ks. arcybiskupa Teodorowicza jest to poprostu króciutki list do autorki, podyktowany przez kurtuazję i sprowokowany jaskrawą „bogoojczyźnianą” tendencją książki. Już tego rodzaju niesmaczna reklama usposabia krytycznego czytelnika podejrzliwie względem literackich walorów utworu p. Zahorskiej. W miarę czytania podejrzenie zamienia się w pewność. Książka istotnie stoi poniżej wszelkiej krytyki. Ani odrobiny talentu, ani krzyży daru naracyjnego, ani cienia prawdy i znajomości rzeczy.

Dużo natomiast tanich frazesów i patetycznej deklamacji na temat aktualnych zagadnień społeczno-politycznych w duchu skrajnego obskurantyzmu, a wszystko to powiązane niezdarnie i podlane obficie sosem „narodowym”. Aż dziw bierze, że autorka,

mająca bądź co bądź spory dorobek literacki i posiadająca niemałą wprawę pisarską mogła upaść tak nisko.

Bo był czas przecież, kiedy Savitri, w takiej „Utopji” chociażby, zdradzała aspiracje głębsze i wysoki polot poetycki, a stanowisko ideowe dalekiem było od schlebiania gustom najordynarniejszej popolitości. Artykuł Savitri o „prusactwie duchowym”, wymierzony przeciwko Nowaczyńskiemu, który drukował przedwojenny „Przegląd Wileński” — dzisiaj zwraca się ostrzem przeciwko niej samej.

Traf zdarzył, że p. Zahorska spędziła jakiś czas w Mińsku za rządów Generalnego Komisarjatu Ziemi Wschodnich. Stąd nabrała powierzchownej znajomości języka, ludu i kwestji białoruskiej. Sprawa „Biełar. Hramady” nasunęła jej pomysł wyzyskania tych szczupłych zasobów wiedzy o Białorusi, celem spreparowania ubranego w formę powieściową pamfletu, zohydającego w oczach nieuświadomionego i niezbyt inteligentnego czytelnika warszawskiego ruchu białoruski, jego przywódców i sympatyków.

Czyż trzeba nadmienić, że cały ruch białoruski został przedstawiony w „Truciznach” jako sztuczna robota, kierowana i podsycana przez bolszewików, że wszyscy Białorusini zostali odmalowani w czarnych kolorach, a natomiast wszyscy Polacy, z jakiegokolwiek tytułu przebywający na „Kresach” są bez wyjątku wzorem wszelakich cnót i poświęcenia dla idei? „Tu co urzędnik — to społecznik ideowy” mówi ustami Oświackiego autorka. To jedno zdanie charakteryzuje dostatecznie tendencję książki.

Na ocenę szczegółową tej pod każdym względem marnej elukubracji szkoda czasu i atlasu. Nie sposób pominąć jednak głównej figury powieści, obszarnika — emigranta z Białorusi Wschodniej Wasilewicz, z którego autorka zrobiła mimowoli dziwną karykaturę.

Ów Wasilewicz na początku powieści pokazany jest jako gorący sympatyk odrodzenia narodowego białoruskiego i oczywiście jako... beznadziejny alkoholik. Gdzie p. Zahorska podpatrzyła taki typ — jest to już jej tajemnicą. Mimo, że ex-obszarnik znalazł się z winy bolszewików na bruku warszawskim prawie bez środków do życia, nie nabrał zapędów reakcyjnych, żywi niezmienny sentyment do ludu białoruskiego, używa w domu mowy białoruskiej, utrzymuje stosunki z postami i działaczami białoruskimi a nawet wychowuje swą córeczkę, gorąco do niego przywiązana na zdecydowaną Białorusinkę, wskutek czego ta czuje się obco w środowisku swych koleżanek Polek i musi znosić szykany i upokorzenia. Natomiast żona Wasilewicza jest patryjotką polską, co wywołuje coraz większy roźdźwięk w rodzinie. W rezultacie Wasilewicz pod wpływem jakiejś zrusyfikowanej i zbolszewiczałej panny rozstaje się z żoną, z alkoholika staje się kokainistą i w końcu w towarzystwie posła białoruskiego, na gruncie rzeczy agenta bolszewickiego wyrusza na Białoruś w celach niewyraźnych, nie myśląc zupełnie o swej ukochanej córeczce, którą matka bez żadnego sprzeciwu z jego strony umieszcza w klasztorze, gdzie zwolna opada ją z niej naleciałości białoruskie...

Podczas swej wycieczki po Białorusi Wasilewicz doznaje szeregu zawodów i rozczarowań. Agitatorzy białoruscy budzą w nim odrazę, lud białoruski jest ciemny, chciwy i niewdzięczny, w nim samym odzywają się raz po raz jakieś reminiscencje szlacheckiej wyższości i pogardy dla *hadów*. Ten jeden rys charakteru jest naturalny i zrozumiały, tyl-

ko że nie wiąże on jakoś z tem chłopomanstwem, które występuje u Wasilewicza tak zdecydowanie na początku akcji. Koniec końcem ten wykołajeniec zostaje uratowany przez żonę i wraca do normalnego trybu życia bez żadnych wyjaśnień ze strony autorki dlatego to się stało tak późno, a nie o wiele wcześniej, jeszcze przed rozpoczęciem pisania przez nią niniejszej powieści.

Większego steku niedorzeczności w druku dawno nie zdarzyło się mi spotkać. Całe szczęście, gdyż inaczej książka mogłaby liczyć na rozpowszechnienie i stać się prawdziwą „trucizną”. a.

A. Janulaitis. *Žydai Lietuvoje. Bruožai isz Lietuvos visuomenes istorijos XIV — XIX amž.* Kaunas.

W miarę postępów, jakie w ostatnich latach czynią historycy litewscy, rozszerza się coraz bardziej zakres zagadnień, które poddawane są naukowym studjom.

Do prac tych przybywa wyżej wymieniona książka, której tytuł po polsku brzmi: „Żydzi w Litwie. Szkice z historii społeczeństwa Litwy w XIV — XIX w.”.

Praca prof. Janulaitisa niewłaściwie nazwana została przezeń „Szkicami”. Jest to raczej zarys monograficzny. Autor w pracy swej nie wyczerpał tematu obszerniej, ograniczył się przeważnie do zakresu prawnego położenia Żydów, natomiast o wpływie Żydów na rozwój handlu w Litwie potrąca mimochodem, życie społeczno-kulturalne Żydów pomija całkiem, szerzej się zaś rozwodzi nad politycznym stanowiskiem ich w czasie powstań 1831 i 1863.

Wielką zaletą pracy jest wykorzystanie przez autora materiałów archiwalnych. Z załączonego natomiast spisu prac drukowanych, z których autor korzystał, trzeba stwierdzić, że posiada on rażące luki. Prof. Janulaitis nie wymienia takich prac, które mają znaczenie pierwszorzędne: np. Bierszadzskija „Priwilegii Wielikago Kniazia Witolda litowskim Jewrejaj”, tegoż „O priwilegijach litowskich Jewrejaj”, Sapunowa „Polsko litowskoje i ruskoje zakonodatelstwo o Jewrejajach”, z polskich prac A. Kraushara „Żydzi w Polsce i Litwie”, Wolffa „Żyd ministrem w Litwie” i wiele innych.

Wogóle najnowszej pracy prof. Janulaitisa zarzucić należy tę samą wadę, co i poprzednim jego rozprawom — pewną chaotyczność i brak ścisłej metody historycznej, co się tłumaczy tem, że prof. Janulaitis jest z zawodu nie historykiem, lecz prawnikiem. W. Sak.

KRONIKA.

Przerwa. Z powodu wyjazdu z Wilna naszego dotychczasowego referenta prasy żydowskiej i trudności znalezienia zastępcy, przez czas pewien nie będziemy mogli uwzględnić tego działu w naszym piśmie.

Urabianie opinij. Proces „Biał. Hramady” tuczy się już drugi miesiąc, a końca jego jeszcze nie widać. W obecnym stadium nie budzi większego zainteresowania, gdyż dzień po dniu składają jednobrzmiące niemal zeznania świadkowie oskarżenia, przedstawiciele administracji, policji i rozmaici konfidenci. Ciekawsze są już sprawozdania „Słowa” i „Dziennika Wil.”, z których przebija jawna tendencyjność i stronniczość, oczywiście na niekorzyść oskarżonych i ich obrońców. W świetle tych sprawozdań dziwnym musi się wydać nieuprzedzonemu czytelnikowi zachowanie się przewodniczącego są-

du, którego sprawozdawcy powyższych pism przedstawiają stale jako zdeklarowanego przeciwnika obrony, a niedużo znacznie faworyzującego stronę oskarżającą. Dziwić się należy, że sąd dotychczas nie zwrócił uwagi na tego rodzaju wybryki prasowe, podważające zaufanie do jego bezstronności.

Przeciwko złej woli sprawozdawców i tendencyjnemu urabianiu opinij zaprotestował gorąco w „Kurjerze Wileńskim” p. Bor, którego artykuły w tem piśmie czynią wrażenie rodzynków w zakalcowatym cieście, ale głos tego wyjątkowego niezależnego publicysty wywołał tylko ostre repliki na łamach zainteresowanych pism, nie wpłynął jednakże ani trochę na bardziej przyzwoity ton sprawozdań sądowych.

Dobrze, ale nie bardzo. Wydaleni swego czasu z z granic państwa polskiego księża litewscy otrzymali wprawdzie pozwolenie na powrót, ale zostali zajmowane uprzednio przez siebie stanowiska obsadzone przez innych księży. Władze duchowne wyraźnie nie chcą ich dopuścić do pełnienia obowiązków kapłańskich wśród ludności litewskiej. Ks. Korwells dotąd nie objął żadnego stanowiska, ks. Wencius zniechęcony wstąpił do zakonu Marjanów, ks. kanonikowi Dworankowskiemu zaś, który był kustoszem katedry sejneńskiej zaproponowano albo udać się wgląb diecezji Łomżyńskiej, albo wyjechać z powrotem do republiki litewskiej. A tymczasem parafje litewskie w Sejnach i Puńsku są pozbawione księży, znających język litewski.

Zgon działacza białoruskiego. W Pradze d. 8 marca zmarł Piotr Kreczewski, przewodniczący Rady Białoruskiej Republiki Ludowej, który przez dłuższy czas przebywał w Kownie w charakterze reprezentanta fikcyjnego rządu białoruskiego. W r. 1923, wskutek nieporozumień z rządem litewskim, Kreczewski opuszcza Kowno i przenosi się na stały pobyt do Pragi, gdzie się poświęca głównie pracy kulturalnej i organizacyjnej wśród licznej tam emigracji białoruskiej. Dzięki jego zabiegom rząd czeski ufundował 150 stypendjów przy wyższych zakładach naukowych dla maturzystów gimnazjów białoruskich.

Dziwna troska. „Życie Ludu” słusznie zwraca uwagę na dziwną niekonsekwencję prasy polskiej, która stale podkreśla z naciskiem, że nawiązanie stosunków między Polską a Litwą, leży głównie w interesie tej ostatniej, gdyż przy obecnym stanie rzeczy grozi jej zupełne bankructwo. Z drugiej zaś strony ta sama zaś prasa zdradza głęboką irytację wobec trudności, jakie stawia w pertraktacjach rząd litewski. Czyżby więc Polacy bliżej brali do serca interesy państwa litewskiego, niż sami Litwini?

Uczenie pamięci Berka Joselewicza. W Wilnie zawiązał się Komitet uczczenia pamięci pułkownika Berka Joselewicza, który podczas powstania Kościuszkowskiego stanął na czele legjonu złożonego z ochotników Żydów a następnie służył w wojsku polskiem pod Napoleonem i zginął w r. 1809 pod Kockiem.

Komitet składa się z wybitnych przedstawicieli miejscowego społeczeństwa żydowskiego oraz polskiego, wśród których nie brak szeregu profesorów U. S. B. Komitet ten wydał odezwę, z której dowiadujemy się, że powstały dwa komitety: jeden w Kocku, a drugi w Wilnie. Dlaczego w Wilnie, a nie w Warszawie, skoro Berek Joselewicz walczył podczas powstania w obronie stolicy Polski i poległ na ziemi polskiej? W odezwie znajdujemy pewne wytlomaczenie tego faktu. Czytamy tam: „Inicjatorami Komitetu Wileńskiego są współpracownicy Berka Joselewicza Żydzi z Wilna i z ziem położonych na terytorjum b. W. Ks. Litewskiego, w którego granicach leżała dawniej Kretynga, skąd Berek był rodem. W Wilnie Berek Joselewicz rozszerzył horyzonty umysłowe i polityczne, przygotował się do roli, którą później odegrał w walkach o wolność Polski i emancypację narodu żydowskiego ze średnio-wiecznego ghetta”. Mimo to, sądzimy, że Warszawa ma głębsze i bardziej uzasadnione powody do uczczenia pamięci bohatera polsko-żydowskiego, niż Wilno.

Wystawa Żydowskiego Instytutu Naukowego. D. 5 kwietnia nastąpiło otwarcie w sali gimnazjum mat.-przyrodniczego Ż. C. K. O. przy ul. Rudnickiej № 6 w Wilnie wystawy zbiorów Żydowskiego Instytutu Naukowego, który w roku bieżącym obchodzi 3 lecie swego założenia. Redakcja nasza otrzymała wprawdzie zaproszenie na uroczystość otwarcia wystawy, lecz niestety ze względu na niedogodną porę nikt z grona redakcyjnego nie mógł z tego skorzystać, codzienna prasa wileńska zaś pominęła ciekawą zeszłochmiar wystawę całkowitem milczeniem.